

Znowu nic się nie dzieje, czyli... ból egzystencji

W nowy 2000 rok Tarnowski Teatr im. Ludwika Solskiego wszedł z mocnym akcentem. 8 stycznia na jego małej scenie mieliśmy bowiem możliwość zobaczyć premierę sztuki Samuela Becketta „Czekając na Godota” w reżyserii Stanisława Świdra. Na deskach teatru sztuka ta pojawiła się po raz trzeci. Po raz pierwszy w roku 1961, a następnie w 1974. Inscenizację sprzed 26 lat z obecną łączy osoba jednego z aktorów Zbigniewa Kłopotkiego, który zarówno wtedy, jak i obecnie stworzył kreację Pozzo.

W pętli czasu

Nazwisko autora i tytuł dramatu znane są chyba każdemu. Czekanie na Godota stało się już bowiem tak popularnym w naszym języku frazeologizmem, że niewielu musi zaglądać do słownika, żeby ustalić znaczenie tego zwrotu. Czasem może tylko ktoś, komu nigdy z Beckettem nie przytrafiło się spotkać ani na deskach teatru, ani na kartach utworu literackiego zapyta: Kim jest ten Godot? I nie uzyska odpowiedzi. „Kim jest Godot?” Tego tak naprawdę nikt nie wie. Estragon (Marek Kępiński) i Vladimir (Jan Mancewicz) czekają na niego każdego dnia tak wytrwale, że nie opuszczają właściwie wyznaczonego miejsca. Niezmiennosc przestrzeni sprawia, że również i czas staje się wartością *constans*. Z utęsknieniem zaczynają wyczekiwac wieczoru, ale nie wiedzą czy to wieczór, czy dopiero świt. Dni i lata stają się dla nich jedynie pojęciami. Nie wiedzą, czy wydarzenia, które pamiętają, miały miejsce wczoraj czy wiele lat temu. Jedynymi znakami, że czas płynie, są okrywające się liśćmi drzewo oraz krótkie postoje Pozzo (Zbigniew Kłopotki) prowadzącego na sznurze dzwigającego bagażu Lucky'ego (Dawid Żłobiński). Jednocześnie jednak czas jakby zatacza koło, kiedy po raz kolejny pojawia się Chłopiec (Dawid Żłobiński) z wiadomością od pana Godota, który „kazał powiedzieć, że dziś nie przyjdzie, ale na pewno przyjdzie jutro”.

A Godot nie przybywa

Estragonowi i Vladimirowi nie po-

zostaje nic innego jak czekać. Są zawsze razem, a Estragon ma za male buty. Zresztą i tak nie mają dokąd pójść. Nikt na nich nie czeka, to ich przeznaczeniem jest czekanie. Raz tragiczni, raz zabawni przeniknięci są na wskroś bólem. Bólem egzystencji, którego nikt poza Godotem nie jest w stanie wyleczyć. Godot w tym kontekście jawi się niczym Bóg lub co najmniej demiurg. Jeżeli nadejdzie, będziemy zbawieni – powtarzają Estragon i Vladimir. Wierzą, że Jego przybycie nada sens ich życiu i oczekiwaniu, pozwoli im odkryć sens egzystencji. Słysząc kroki, pojawia się radość oczekiwania. Niestety, znowu nic się nie dzieje. Zamiast Godota pojawia się Pozzo prowadzący na sznurze swojego tragarza Lucky'ego i poganający go batem. Przez moment bohaterowie zastanawiają się czy Pozzo nie jest Godotem. Ten jednak nie ma w sobie nic boskiego. Wprawdzie ze swoją pewnością siebie i batem wydaje się być wszechmocny, to jednak w ostateczności okazuje się być zwykłym, słabym, wolającym o pomoc człowiekiem. Sznur i bat to nie atrybuty wszechmocnego kreatora, ale marne namiastki złudzeń. Pozzo, podobnie jak Estragona i Vladimira, dopadł ból egzystencji. I tylko Lucky, który, jak się wydaje, powinien być najbardziej nieszczęśliwym, dotknął-

egzystencjalnego sanktuarium. Tam niestrasza im nawet śmierć. „A może by się tak powiesić” – pada raz po raz z ich ust. Problem jest tylko jeden.

Brak odpowiedniego sznura

Ból egzystencji chwilami jest po prostu nie do zniesienia. Dla każdego z nich przychodzą chwile, kiedy mają już dość, nie mogą udźwignąć pustki, braku sensu, celu, motywacji działania i coraz bardziej słabnącej nadziei. Godot nie przybywa, znowu nic się nie dzieje. Przychodzi tylko coraz bardziej niedołężny Pozzo, który wydawać by się mogło miał swój cel w życiu. Nie ma odpowiedniego sznura, coraz bliższy jest tylko obłęd, który zabija już nawet nadzieję. Wszystko wskazuje na to, że już nigdy nie się nie zmieni, a uludna nadzieja na przybycie Godota dla Vladimira i Estragona stanie się piekłem czystości...

Beckett na XXI wiek

I kończy się dramat. Widz, który oczekiwał rozrywki będzie rozczarowany. Poza naturalnie wypływającym z groteski humorem, nie otrzyma bowiem nic ludycznego. Co więcej, po spektaklu staje w obliczu pytań o własną egzystencję, o cel i sens życia. Doskonale kracząc aktorskie sprawy, że czekanie na Godota jest udziałem wszystkich obecnych na sali. Obłęd Vladimira i Estragona staje się



ty bólem fizycznym, nadal sens swojej egzystencji. Bity i upokarzany zachowuje swoją wewnętrzną niezależność, czemu daje wyraz w bezładnym na pozór monologu, kiedy, na prośbę Vladimira i Estragona, Pozzo każe mu myśleć. Człowiek maleje i marnieje – to sens monologu Lucky'ego. Pozostali chyba również zaczynają sobie zdawać z tego sprawę.

Misterium egzystencjalne

Poszukują Boga. Zastanawiają się nad miłosierdziem, rozprawiają o ukrzyżowanych lotrach, nad wyrzeczeniem, pragną Wybawienia. Prośba o Boże zmiłowanie wyrażona przez Estragona budzi strach Vladimira, że bożego miłosierdzia dla obydwu nie wystarczy. Dlatego przekrzykują się wzajemnie w prośbie o tę łaskę. Chrześcijański Bóg to dla nich rzeczywistość realna, to ktoś różny od Godota. Być może, kiedy mówią o Bogu, zapominają nawet o Godocie. Obydwaj pragną czegoś więcej. Widzą, że cała ludzkość streszcza się w słowach Kain i Abel. Dlatego miejsce pod drzewem, gdzie nieustannie czekają na Godota, jest czymś w rodzaju

udziałem widza, który sam już nie wie czy to noc, czy dzień, czy jest w teatrze tylko kilka godzin, czy nie wiadomo jak długo czeka na Godota. I czy jest w stanie udźwignąć ból własnej egzystencji? Czy jednak dla człowieka stojącego na progu XXI wieku ma to specjalne znaczenie? Czy taki człowiek potrzebuje Becketta? Z całą pewnością tak, bo w przeciwnym razie nie byłby człowiekiem.

Spektakl jak piorun

Nieczęsto można zobaczyć takie przedstawienie. Pewność siebie Pozzo, tragizm Lucky'ego, trywializm Chłopca, przenikliwe spojrzenie i ekspresja Vladimira oraz głębia Estragona powodują, że każde słowo spektaklu zapada głęboko i pozostaje jak dręczący człowieka wyrzut sumienia. To pytanie o własną egzystencję. Tej inscenizacji nie można po prostu obejrzeć. Trzeba ją przeżyć jak najlepsze rekolacje, doświadczyć *katarsis* i wyjść z teatru odmienionym. Nie wiem, czy taki cel stawiali sobie twórcy spektaklu. Jeżeli jednak chcieli poruszyć widzów do głębi, to z całą pewnością im się to udało.

Piotr Pawlina